

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głosu Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Tydzień ubiegły w polityce i literaturze

NIEDYSKRECJE:

Konferencja polsko-litewska w Królewcu	226
Przybyli dobrodzieje	"
Za kulisami komisji przygotowawczej	"
Niech żyje republika	227
Nowa inscenizacja „Króla”	"

WRAŻENIA Z POLSKIEGO OSADNICTWA GÓRNICZEGO W PÓLNOCNYPH DE- PARTAMENTACH FRANCJI— <i>M. Czapka</i>	227
--	-----

SZKOLNICTWO DOŚWIADCZALNE— <i>A. Uziembło</i>	230
--	-----

„GŁOS PRAWDY LITFRACKI“

O dwa słowa— <i>Juljusz Kaden Bandrowski</i>	231
Zawrócił świat— <i>Wł. Orkan</i>	"
Wielkanoc— <i>Lucyna Krzemieniecka Wolcowa</i>	"
Croce, futurizm i faszyzm— <i>A. Berta</i>	"
Trylogja ukraińska— <i>N. S-ki</i>	234
Trzeba się bronić— <i>J. K. Bandrowski</i>	"
O rozwój polsko-węgierskiej łączności intele- ktualnej	235
W ojczyźnie Ibsena— <i>a.</i>	236
Ze świata— <i>M. M.</i>	237
Nie pieprz Pietrze czyli Cienie na wietrze	"
Nad książką	238
Wypisy bibliofilskie	239
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	240

NIEDYSKRECJE

KONFERENCJA POLSKO-LITEWSKA W KRÓLEWCU szczęśliwie uniknęła katastrofy, która wydawała się naturalnym wynikiem taktyki, stosowanej w przeciągu pierwszych dwóch dni obrad przez delegację litewską. W ostatniej jednak chwili p. premier Waldemarasz zorientował się, iż stacza się po pochyłości ku własnej zgubie. Zrozumiał, iż ma przeciw sobie całą opinię świata, która upartych jego metod sprzeciwiania się za wszelką cenę nawiązaniu stosunków pokojowych z Polską na dłuższą metę tolerować nie będzie. Zatrąbił więc na odwrót. Uczyniwszy zadość potrzebom swej wymowy w długiej oracji, powtarzającej do znudzenia znane już żale i skargi, w końcu zgodził się utworzenie trzech komisji, które zajmą się projektami konwencji polsko-litewskich, przedłożonemi przez Polskę. To wyjście z matni ułatwić ma zdecydowanie pokojowa i pełna rzeczy można, anielskiej cierpliwości, postawa delegacji polskiej z min. Zaleskim na czele. W ten sposób uczyniony został poważny krok naprzód w ustaleniu pokoju między Polską a Litwą, o ile, oczywiście, p. Waldemarasz nie zechce przenieść swej starej techniki sabotażu na prace komisyjne. Chcemy wierzyć, że to nie nastąpi, i że nareszcie będzie można rozpocząć z przedstawicielami Litwy Kowieńskiej rzeczowe rozmowy, które wytkną najprostszą drogę do porozumienia bratnich narodów.

**

PRZYBYLI DOBRODZIEJE, silni „woła ludu“, napompowani demagogią starą i wyświechtaną do cna, dobrodziejie upośledzonych, spragnionych, bezdomnych. Rozpoczęły się w Sejmie debaty budżetowe — i nuże, dobrodziejie ci, lepsi, pracowitsi, skwapliwsi do czynienia dobra być chcą, niż rząd. Przez sześć lat Polską rządził, dobrem państwowem władali, kasy państwowe systematycznie i nazbyt ochotnie wypróżniali, dobrodziejami byli dla siebie, dla innych twórcami nędzy. Dopiero obudziła się w nich troska o naród, o „najszerze warstwy“ — jak się to pięknie nazywa, o był pracowników, — wtedy, gdy o tym bycie, o tej doli pracujących rzesz pomyślał kto inny i nietylko pomyślał, ale realizować począł postulaty życia. Sześć lat słyszały te warstwy biedujące, że skarb pusty, że nic dla nich uczynić nie można, że „będzie jeszcze gorzej“, sześć lat sączono pesymizm, rezygnację, niewiarę we własną pracę, niewiarę w wysiłek ducha i mięśni. Oni teraz obudzili się dobrodziej! Jakżeby ktoś inny mógł to zrobić, by ludowi lepiej, pewniej, dostatniej się życie układało — bez nich. Któżby też mógł przypuścić, że pozwolą komukolwiek, jeśli nie sobie, zdyskontować twardą, moralną, celową a nieustępliwą pracę stabilizacyjną Rządu! Pojąć nie mogą, jakby też mu można odebrać monopol na czynienie dobra ludowi. Przybyli tedy dobrodziejie do Sejmu i w pierwszych dniach prac sejmowych upomnieli się o przywilej czynienia dobra. A więc wnoszą o powiększenie budżetu na inwestycje! Jacyż zaci, jak uczciwi, jak zatroskani o kraj — dobrodziej! Teraz nagle zobaczyli, że brak szkół, brak gmachów państwowych. Gdzież byli — wszak posłowali i w owym czasie, — gdy za ich wołaniem zamykały się szkoły ze względu na budżet! Gdzież byli wówczas i co robili, gdy redukowało się wydatki na budownictwo? Dlaczego przez sześć lat ich rządów corocznie wzrastały rzesze bezrobotnych, bez nadziei wyrzucanych na bruk? Dziś radziby całą Polskę zabudować, upiększyć — gdy nie ich pracą i staraniem niedobory kasowe się skończyły, a w skarbcu zapasy złotowe kuszą. Cóż szko-

dzi powiększyć budżet, gdy się nad nim nie pracowało, gdy o jego realności pojęcia się niema i mieć nie chce, gdy się za jego wykonanie i dalsze losy skarbu nie odpowiada. Wygodnie i pięknie jest być dobrodziejem, szafując dobrami — nie swemi i przez kogo innego zdobytemi. Mówiło się, że niema w Polsce ludzi myślących o powszechności, myślących o całości narodu — niesłusznie. Spójrzcie, ilu to pod jednym dachem przy ulicy Wiejskiej macie dobrodziejów! A potem, a raczej równocześnie druga sprawa. Toczy się dyskusja o dodatki do pensyj pracowników państwowych — i referent w komisji budżetowej prof. Krzyżanowski stawia wiosek, by przyznać urzędniczej rzeszy, tak srodcie przez los i przez rząd parlamentarne i nieparlamentarne w latach minionych krzywdzonej, dodatek w wysokości 45 proc. aż do czasu uregulowania zasadniczego płac urzędniczych przez Sejm. Pogarną się do stołu dobrodziejie, pokwapiają, chcą dać więcej, prędzej skuteczniej. Jacyż poczciwi, jak głęboko troską przejęci! Skarżyliście się biedni urzędnicy, że nie mieliście do kogo zwrócić się w Sejmie o poparcie waszych słusznych żądań. Spójrzcie, ilu tam dobrodziejów na was czeka, jak głęboko współczują z waszą dolą, z jakim pietyzmem przeorywują twardy grunt poprawy waszych uposażeń! Spójrzcie, jak p. Zarembo myśli o Was — chce być lepszym, bliższym waszemu sercu — i głosom od Rządu, chce więcej i lepiej i szybciej dla Was. Wprawdzie za czasów rządów Witosowo-Grabskich obcinał Wam w spokoju pobory, żąda, Waszych ofiar, ale się zmienił, przekonał i przerodził — w dobrodziej! I potem woła głośno, publicznie: jam jest, który was zbawić mogę, pójście do mnie pracownicy i wydziedziczeni, a ja was z kas, przez Rząd Piłsudskiego napełnionych utuczę! Bo i sam utuczony być pragnę! I śpieszcie, wejrzyjcie, w prawdę wewnętrzną zatroskanych o Wasz los dobrodziejów z pod znaku panów Zarembów, — a jeśli dojrzyicie gdzie fałsz i obłudnej demagogji skrzywienie, — nie wiercie oczom swoim i podejrzeniom, albowiem są to rzeczywiście dobrodziejie odważni, zdecydowani bronić wszystkiego i wszystkich — przeciw wypracowanemu skrzętnie i oględnie planowi gospodarczemu — ku własnej chwale.

**

ZA KULISAMI KOMISJI PRZYGOTOWAWCZEJ do konferencji rozbrojeniowej odbywały się — jeżeli wierzyć doniesieniom prasy — rozmowy bardziej rzeczowe, aniżeli na jej plenum. Miało tam podobno dojść do uzgodnienia stanowiska Anglii, Ameryki i Japonji w sprawie równowagi rozbrojeń na mcrzu, nad czem oddawna pracują bez powodzenia rządu wymienionych państw. Poruszona była również sprawa Tangeru i związane z nią zagadnienie „Locarna Śródziemnomorskiego“, oraz inne sprawy aktualne polityki światowej. Przed ostatnim swoim wyjazdem do Genewy, sir Austen Chamberlain, mówiąc o znaczeniu Ligi, wypowiedział pewną trafną myśl. Przy całej niedoskonałości Ligi, już sam fakt, iż daje ona kierującym mężom stanu sposobność spotykania się kilka razy do roku, celem wymiany poglądów w osobistym kontakcie, jest wysoce pożyteczny. Chamberlain jest zdania, że gdyby podobne zjazdy odbywały się równie często przed wojną, udałoby się być może, ją zażegnać. Nie ulega wątpliwości, iż bezpośrednio zetknięcie się przedstawicieli państw może wiele nieporozumień usunąć, a w każdym razie wyjaśnić. Słynne powiedzenie Lloyd George'a po jednej z jego rozmów z Briandem: „we agree to disagree“, zgadzamy się co do tego, że się nie zgadzamy — należy zapamiętać sobie przy wszelkich pertraktacjach. I taka zgoda jest często rzeczą cenną, niejednokrotnie bowiem strony blakają się w ciemnościach i na punkcie tego, co stanowi przedmiot sporu.

Oczywiście tego rodzaju nieporozumień nie mogło być w stosunku do wystąpień genewskich przedstawicieli Sowietów. Była to jedyna jednomyslność, jaką się udało osiągnąć na ostatnich naradach rozbrojeniowych, a stwierdzić należy, że jak na włożony trud i stracony czas, jest ona w ich bilansie wynikiem nader mizernym.

**

„NIECH ŻYJE REPUBLIKA“! — tym okrzykiem zakończył swą czteroletnią kadencję Reichstag niemiecki, podkreślając tem wierność większości narodu niemieckiego dla konstytucji Weimarskiej. Przed wyborami odżyła symbolicznie jedność republikańska partji lewicy, znana pod nazwą „koalicji weimarskiej“. Na okrzyk bowiem: „Niech żyje republika“! powstałi z miejsc socjaliści, demokraci, ludowcy i całe centrum. Garstka prawicowych nacjonalistów, która zamantestowała swą lojalność względem ustroju republikańskiego, tworzyła rażący kontrast na tle siedzących monarchistów. Obecnie sam naród niemiecki zadecyduje, po czyjej stronie są jego sympatje: czy po stronie manifestujących swe republikańskie uczucia partji demokratycznych, czy też — tajnych i jawnych zwolenników monarchji. Zbliżające się wybory do Reichstagu dowiodą nie tylko zdecydowanej woli szerokich mas niemieckich do utrwalenia republiki i prawdziwej demokracji, lecz i do zacieśnienia stałych pokojowych stosunków z sąsiadami. Przewidywane powszechnie zwycięstwo koalicji weimarskiej będzie najpewniejszą tego rekojmią.

**

NOWA INSCENIZACJĘ „KRÓLA“ Caillavet'a i de Flers'a ujrzymy za parę tygodni na ulicach Moskwy z okazji przejazdu emira Afganistanu, Amanullaha I. Podobno prowincjonalni dygnitarze sowieccy od szeregu tygodni biorą od niedobitków dawnych „sier wyższych“ lekcje pogardzanych „dobrych manier“, a czerwona armja ćwiczy okrzyk „hurra“ na cześć „jewo wieliczestwa“ (choć obcego) po 10 latach „wyjścia z wprawy“. Sytuacja przejazdu pierwszego „monarchy“ (w dodatku absolutnego) przez czerwone terytorjum posiada doprawdy bardzo wiele pikanterji. Powitanie króla Amanullaha w Moskwie byłoby o wiele serdeczniejsze, gdyby egzotyczny władca nie uległ w Londynie urokowi pewnej syreny, imieniem sir Austen Chamberlain. Ostatnie dzienniki angielskie donoszą, że owa syrena skusiła emira do podpisania przymierza wojennego z Anglją, skierowanego w pierwszym rzędzie przeciwko Sowietom. Jest to tem boleśniesz dla Moskwy, że Afganistan był jednym z pierwszych państw, które zawiązały stosunki z Sowietami i w marzeniach czerwonych władców, miał być awangardą ofensywy antyangielskiej w Indjach. Na dobitkę, w tymże Londynie Afganistan podpisał w środę traktat przyjaźni z Japonją, szachując w ten sposób Sowiety w dwóch najwrażliwszych punktach ich ekspansji azjatyckiej. Jak na ostatnich tranzakcjach londyńskich wyjdzie niedostępny dotychczas Afganistan — niewiadomo. Można tylko przypuścić, że instruktorowie angielscy, którzy mają, zgodnie z traktatem, przeszkolić armję afgańską, dostarczą niewątpliwie sporo materiału „Wschodnio-Indyjskiemu Biuru Etnograficznemu“ (naukowa nazwa wywiadu angielskiego na terenie Azji). Flirt z londyńską syreną wogóle jest niebezpieczną sprawą, albowiem ma ona pazury... Brytyjskiego Lwa.

WRAŻENIA Z POLSKICH OSAD GÓRNICZYCH W PÓLNOCNYCH DEPARTAMENTACH FRANCJI

Pragnąc przyjrzeć się zbliska życiu naszego wychodźstwa w północnej Francji, przyjechałam do Douai (dep. Nord), miasteczka położonego wśród wielkich osad górniczych tej okolicy.

Za pierwszego informatora mógł mi służyć brat, który od kilku tygodni prowadzi tu kurs dla dyrygentów chórów śpiewających.

Trzy godziny koleją dzielą Lille i Douai od Paryża, ale kraj tu bardzo odmienny, już z okien pociągu można zauważyć niezaleczone jeszcze rany wojenne; przejeżdżamy przez Arras, Amiens... tu i owdzie sterczą jeszcze postrzelane ruiny, ślady zgliszcz i najgorsze zniszczenie vegetacji, któremu nie może zaradzić w kilka lat nawet najbardziej wyteżona energia ludzka. Lasów nie widać zupełnie, sterczą tylko tu i ówdzie strzaskane do połowy i osmalone pnie, ciągną się niewykarzowane, pokryte chwastami polacie ziemni. Zbliżamy się do rejonu węglowego, coraz częściej widać domy z cegły, szarego budowlanego kamienia środkowej Francji nie daje węglodajna ziemia. Oto już i kominy fabryczne przy coraz gęściej rozsianych szybach kopalnianych. Płaszczyzna, poprzerzynana ka-

nałami, w których woda jest prawie równa z powierzchnią ziemi; na wodzie ciężkie barki ładowne węglem. Tu i owdzie, charakterystyczne dla okolic górniczych, zapadnie gruntu, po dawnych, wyzyskanych terenach kopalnianych, wypełnione stojącą wodą, częściowo porosłą szuwarami.

Przy każdym szybie olbrzymie na kilkadziesiąt metrów wysokie, piramidalne stopy kamieni wylupanych z brył węglowych, to jakby pomniki ludzkiej pracy; każdy z tych kamieni przeszedł przez ręce ludzkie, i długie, długie lata górniczego trudu złożyły się na te kolosalne stopy.

Douai — miasto prowincjonalne z piękną katedrą i czcigodnym ratuszem. Nawet architektura różni się tu od środkowej Francji, przecie to już granica Belgji, dawne Niderlandy; stare budowle mają coś z masywności niemieckich burgów, blaszane dachy przypominają rycerskie hełmy i przyłbice. I lud inny, widać zmieszanie ras, przewagę krwi germańskiej, chociaż język jeszcze francuski. Wojna głęboko dotknęła Douai, całe jego dzielnice leżały w gruzach, okupacja niemiecka jeszcze żywa w pamięci mieszkańców; obecnie większość ran zaleczonych, a kolonje górnicze znacznie rozszerzone, dzięki wzmoczonej produkcji.

Zgórz polowa wszystkich wychodźców polskich we Francji, t. j. dwieście kilkadziesiąt tysięcy zamieszkuje zagłębienie górnicze w departamentach Pas

de Calais i Nord. Z tego około 180 tys. to Polacy, którzy już od długich lat pracowali stale w kopalniach Westfalji. Zwartą masą przybyli oni po wojnie z Niemiec do Francji, zorganizowani, wierni tradycjom narodowym, przeważnie gorliwi katolicy.

★

Jeden ze słuchaczy śpiewaczego kursu, młody człowiek, chociaż już od 20 lat wykwalifikowany górnik, p. Nowak, opuścił „dzionkę“, żeby móc nas oprowadzić po kolonji i kopalni.

Był słoneczny dzień wiosenny, w promieniach słońca migotał miął węglowy, którym cała atmosfera jest przesycona. Rozległa kolonja rozbudowana wzdłuż ulic, rozchodzących się wokół kościoła; kościół, jak w wielu innych kolonjach górniczych, został zbudowany przez Kompanję koncesyjną na żądanie górników Polaków. Domki kolonji zbudowane z cegły, w stylu ozdobnych willi podmiejskich, schludne gancezki, w oknach ładne firanki. Razi brak vegetacji, nawet trawy niema przy domkach, trochę lichych krzewów, trochę wychuchanych pod ścianami pierwiosnków, żadnych drzew.

— Czy ziemia tak nieurodzajna, pytam?

— Ziemia dobra, ale gazy niszczą roślinność, jak tylko wiatr powieje od strony koksowni, czuć mocny zapach, który truje liście.

Po ulicach, wysypanych koksem, bawią się polskie dzieci, poowijane w chusty, w welnianych czepkach, niezgrabne i swojskie; starsze zajęte podskakiwaniem, przy odwiecznej zabawie w „klasy“.

Całe miasto równych domków nad którymi góruje kościół, dwie szkoły, żeńska i męska, do których uczęszcza około 900 dzieci polskich; przy kościele ksiądz francuski i polski, zajmujący stanowisko wikarego, pomimo ogromnej przewagi polskich parafjan. Ks. Misiak, wikary przy kościele w Cité Notre Dame, kolonji przez nas zwiedzanej ma około 6 tys. parafjan w trzech stykających się kolonjach górniczych, element francuski wynosi koło 10%; na 900 dzieci polskich tylko trzy polskie siły nauczycielskie. Co dzień odbywa się po mszy zwykłej t. zw. msza polska, z polskimi śpiewami, w niedzielę suma z polskiem kazaniem. Nie wszystkie jednak kolonje zagłębia górnicze mają swojego księdza, nie wszystkie korzystają z nadprogramowej nauki języka polskiego.

T. zw. Westfalecy odznaczają się wyższą kulturą od wychodźców, którzy napłynęli w ostanich latach z Małopolski i b. Kongresówki. Młodzież urodzona w Westfalji mówi przeważnie między sobą gwarą niemiecko-polską, trudną do zrozumienia; nie znają ojczyzny, nie tęsknią i nie myślą o powrocie, a jednak czują się Polakami i dbają o odróżnienie od Francuzów. Starsza i młodsza generacja, pomimo pięciu lat spędzonych już we Francji, prawie nie mówi po francusku; przebywając ciągle między sobą nauczyli się tylko tyle ile wymaga ich praca i konieczność porozumienia się z „porion'em“ (sztygarem). Nie łączą się zupełnie z Francuzami, małżeństwa mieszane są niezmiernie rzadkie, a niechęć do Francuzów czuć w niejednym odezwaniu.

★

Dyrekcja nie wydaje niestety pozwoleń na zwiedzanie kopalni obcym, mogliśmy więc tylko obejrzeć zewnętrzne urządzenia (lampiarnie, umywalnie, gdzie górnicy mają kilkadziesiąt boksów z kranami gorącej wody i mogą zaraz po wyjściu z kopalni umyć się od stóp do głowy i przebrać w czyste ubranie zostawione pod numerem), otwory szybów, w których nieustannie kursują windy opuszczane na 400 do 500 metrów i powracające, obładowane wózkami z węglem, koksownię, do której bywa używany miął węglowy, maszynowe mielenie brył koksu i ładowanie go na wagoniki, oczyszczanie wydobytego z pod ziemi węgla i t. d. Po tym krótkim spacerze wyglądaliśmy sami jak kominarze, oczy i nos pełne węgla, który też skrzypiał pod zębami.

P. Nowak opisywał nam trudy i niebezpieczeństwa pracy górnika, grozę zawałania się korytarzy i wybuchów gazowych. Mówił jak potrzebne są górnikowi wszystkie zmysły dla odróżnienia gatunków łupanego gruntu oporu, skały, zapachu trujących czy wybuchowych gazów... Zżyty od lat dwudziestu z tą pracą mówił o niej z zapalem i miłością jak żołnierz o bitwie, lub marynarz o morskich burzach.

W Westfalji, powiada p. Nowak, nie było prawie dnia, żeby nie było ludzkiej ofiary; niektóre pokłady węgla leżały tak głęboko pod ziemią, że ludzie byli zmuszeni pracować tam prawie nago z powodu gorąca, złani nieustannie potem.

— Jak górnik zachoruje i nie chodzi do kopalni nawet przez dwa tygodnie, do końca jeszcze węglem pluje, objaśnił nam inny górnik.

— I po dwóch miesiącach zawsze pluje, poprawił go p. Nowak.

Żywo przypomniała mi się powieść Zoli „Germinal“, która tak wstrząsnęła mną przed laty.

Warunki zmieniły się na lepsze od tego czasu. Nie wolno już kobietom i dzieciom pracować pod ziemią, są tylko zajęte przy oczyszczaniu i ładowaniu węgla, nie dziesięć też czy dwanaście godzin jak wówczas pracuje górnik, ale niezmiernie osiem. Zawsze jednak drogo sobie każe płacić ziemia za skarb wydobywany śmiałą ręką z jej łona.

II.

Przy śniadaniu u pp. Nowaków zgadało się o przyjmowaniu poddaństwa francuskiego i o usilnem życzeniu Francuzów jaknajśpieszniejszej asymilacji obcych elementów. Pytałam czy górnicy nie biorą pod uwagę praw któreby im zapewniła francuska przynależność, oraz ułatwień w obronie własnych interesów. chcemy zostać całymi Polakami; zresztą bardzo wielu

— Dobrze to dla tych, odparł p. Nowak, którzy twierdzą, że tam jest ojczyzna, gdzie jest dobrze. My chcemy zostać całymi Polakami; zresztą bardzo wielu z tych, którzy opuścili Polskę choćby 15 i 20 lat temu pragną powrotu. Każdy zbiera grosz do grosza w nadziei, że przyjdzie kiedyś upragniona chwila, w której się kupi coś swojego w ojczyźnie.

★

Naogół kompanje koncesyjne lub prywatni przedsiębiorcy kopalń otaczają górników opieką, zaspakajając wiele ich życzeń. Płaca górnika wynosi od 40 do 70 fr. dziennie, zależnie od ilości członków rodziny, bo tu, jak i w wielu innych prywatnych przedsiębior-

stwach Francji, są wprowadzone naddatki płacy na każde dziecko (*allocutions familiales*); za trzy pokojowe mieszkania płacą górniczy miesięcznie 10 fr. (dziesięć franków).

Propaganda prowadzona przez komunistyczne syndykaty francuskich robotników osiąga szczupłe rezultaty, ulegają jej jednostki, częściej z powojennej emigracji niż z Westfalczyków. Niema walki pomiędzy jednymi a drugimi, jednostki zyskane przez komunizm odchodzą tylko od pnia polskiego i nie biorą udziału w jego życiu wewnętrznym. Ciężka praca, dobra płaca i warunki mieszkaniowe chronią zapewne *gros* naszych górników od sympatii dla przewrotnych dążeń. Trzymając się na osobności stanowią oni jakby niezależne od otoczenia ugrupowanie, nie zamieszane w polityczne życie Francji, a za bardzo oddalone od kraju, żeby dzielić tamtejsze spory.

Zadziwiająco bogate jest to życie wewnętrzne wśród emigracji górniczej. Na pierwszy plan wysuwa się przez swą liczbę Polski Związek Towarzystw Katolickich.

Walny zjazd delegatów, odbyty w Lens w ciągu bieżącego miesiąca wykazał 14,500 członków Związku. Działalność organizacji polega na zjazdach mających na celu omówienie różnych bolączek życia emigracyjnego, zaradzenia im przez porozumienie z władzami urzędowymi, lub duchownymi, organizowanie odczytów i bibliotek. Pomocy pod względem nadsyłania książek udziela najczęściej Narodowa Organizacja Kobiet w Polsce.

Silny antagonizm zachodzi między tym związkiem, a pewną liczbą nauczycielstwa emigracyjnego, z p. Wiackiem Prezesem tego Związku i Robotniczego Uniwersytetu w Lille na czele. Zarzucają tej części ciała pedagogicznego niechęć czy nieumiejętność w wychowaniu dzieci w duchu religijnym, co większość wychodźstwa uznaje za zgubne, p. Wiacka zaś winią w mylnem informowaniu odpowiednich czynników w kraju o potrzebach wychodźstwa. Strona przeciwna zarzuca, jak zwykle, duchowieństwu ograniczoną dążeń i zacofanie kulturalne.

Ks. Garstecki, gen. Sekretarz Związku Towarzystw Katolickich, jeden z najczynniejszych kapłanów na emigracji, udzielił mi kilku informacji co do stosunku kleru francuskiego do polskiego.

„Stanowisko jest trudne, oświadczył kapłan, i przyznać trzeba, że prawdziwa nieprzyjaźń panuje między nami, a klerem i nauczycielstwem francuskim; poprostu wyrrywamy sobie ludzi, kradniemy dzieci; nauczycielstwo w szkołach zmusza dzieci polskie do spowiedzi u księży francuskich. Jeden z biskupów wydał ostatnio zakaz urządzania Komunii wedle polskiego zwyczaju, dzieci polskie mają się stosować do francuskiego ceremonjału, śpiewy polskie na „polskich“ mszach dozwolone, ale już chóry dziecięce, organizowane przez ks. Misiaka w Cité Notre Dame, spotykały się z zakazem biskupim rościągającym się nawet na prywatne mieszkanie księdza. To co się toleruje dla starszej generacji, podlega różnym ograniczeniom w zastosowaniu do młodszej, którą się już całkowicie pragnie włączyć do młodzieży francuskiej.

Rozmawiałam z kierowniczką szkoły dla dziewcząt w tejże Cité Notre Dame, — chwaliła postępy

uczenie, ich zdolność do obcego języka, co zresztą podnosi wielu nauczycieli francuskich, martwiła się jedynie, że rodzice nie dość sobie cenią szkołę francuską, że dzieci w domu nie słyszą francuskiego języka; wyraziła przytem nadzieję, że z młodszymi pójdzie już łatwiej, bo starsze rodzeństwo, będzie je do języka przyzwyczajając. W tonie pani dyrektorki nie było żadnej wątpliwości, że wszystkie jej uczennice w bardzo krótkim czasie przedziegną się w rodowite Francuzki.

Stosunek duchowieństwa francuskiego i polskiego komplikuje jeszcze kwestja materialna. Słabo opłacani księża francuscy obawiają się utraty drobnych dochodów, które im zapewnia sprawowanie pewnych ceremonij i udzielanie niektórych sakramentów, nie chcąc więc wypuszczać z rąk parafjan, chociażby polskich i stają na drodze polskiemu księdzu w spełnianiu jego obowiązków; dwóch gospodarzy w jednym kościele stwarza ponadto szereg sytuacji drażliwych i uciążliwych, wymagających dużej dozy taktu.

„Gdyby każdy ksiądz mógł od siebie opłacać francuskich proboszczy, oświadczył ks. Garstecki, zaoszczędziłby sobie wiele przykrości“.

„Czemu jednak dochodziły mnie głosy, że księża polscy, sprzedają swych parafjan biskupom francuskim? spytałam ks. Misiaka.

— Są tacy, którzy studja odbyli we Francji, żyli się z tutejszymi warunkami, działając wyłącznie na korzyść katolicyzmu, nie uwzględniają czynników narodowych; o takich możnaby powiedzieć, że ustępują w zasadzie nasz lud Francji, ale takich jest bardzo mało, odparł kapłan, siląc się na bezstronność.

Jedni więc księża przez Francuzów uznani za szkodliwych nacjonalistów utrzymujących polską emigrację „we wrogiem odosobnieniu“, drudzy — przez swoich, prawie za zdrajców... Jakże tu pogodzić sprzeczności dążeń i interesów dla samych zainteresowanych? Jedynie ciężar życia i jego trwanie może rozwiązać ten węzeł nieporozumień.

III.

Oprócz Towarzystw Katolickich, druga charakterystyczna cecha życia naszej emigracji w północnych departamentach Francji to koła muzyczne, dramatyczne, a nadewszystko, najliczniejsze koła śpiewacze. W smutnym, czarnym kraju jest dla nich ta pieśń polska najpiękniejszym wytchnieniem po pracy i pokarmem dla duszy, dla niej nie szcędzą najlepsi z pośród górników swej pracy, nie żałują pieniędzy. Garną się do niej starsi i młodszy, mężczyźni i kobiety. Pieśń przyczynia się do utrzymania polskości, do zachowania języka od skażenia i zapomnienia, pomimo długich lat spędzonych na obczyźnie, pieśń stanowi dla nich niedzielną rozrywkę.

„Nie wszyscy to rozumieją, wyraził się jeden ze słuchaczy Kursu dla dyrygentów, że tam gdzie są Koła śpiewacze jest mniej rozpusty, pijaństwa, rozwodów i kłótni“.

P. Nowak dyrygent kilku chórów, i długoletni pracownik na tem polu, jeszcze w Westfalji, ma w domu pianino, nabyte za pieniądze zaoszczędzone, oraz ręczną fisharmonję, na której akompanjuje głosy śpiewaków. Instrument ten osłonięty pochwą i zaopatrzony w rzemienie, ładuje dyrygent na plecy siada na ro-

wer, powszechnie tu zwany „koło“ i każdej niedzieli objeżdża chóry powierzone jego opiece w różnych kolonjach. P. Nowak dla zaoszczędzenia swego słuchu nie pracuje przy wydobywaniu węgla, ale kładzie szyny w podziemnych korytarzach, ze względu na czystość głosu nie używa alkoholu.

Prezesem Związku Kół Śpiewaczych jest p. Czachorowski, też górnik. W marcu odbyło się w Douai doroczne zebranie Kół Śpiewaczych z całej Francji. Wzięło w niem udział 39 delegatów, przedstawiciele innych Związków, przedstawiciel władz polskich i prasy emigracyjnej, oraz kierownik kursu dla dyrygentów, p. Czapski. Ten ostatni bywał nieraz obecny na posiedzeniach różnych organizacji polskich w Paryżu, Związków artystów, Towarzystwa Propagandy i t. d. nigdy jednak nie spotkał tak rzeczowo prowadzonego zebrania. Nikt nie przemawiał tu dla pięknego słowa, lub popisu, każde odezwanie miało na celu wyjaśnienie jakiegoś punktu lub projektu, zakreślenie, lub ustalenie wniosków. Sprawozdanie z 1927 roku wykazało istnienie 69 kół śpiewaczych, a po przyjęciu 4 nowopowstałych 73. Członków jest 4292 (mężczyzn 2595, kobiet 1697) w tej liczbie czynnych członków jest 3664. Ogólny dochód Kół wyniósł w roku ubiegłym 207,251 fr.; rozechód 187,285; chóralnych pieśni było wywiczonych w ciągu roku 501.

Na kursy dla dyrygentów, odbywające się obecnie w Douai, Somain, Lens i Bruay, uczęszcza około 40 słuchaczy; kursy odbywają się zależnie od godzin pracy rano, popołudniu, lub wieczorem, ponieważ praca w kopalniach jest bez przerwy na trzy zmiany i co tydzień następuje przesunięcie ośmiogodzinnej „dzionki“. Kurs przechodziło kilku czynnych już dyrygentów i kilku kandydatów, dwudziestokilkoletnich młodzieńców. Schodzili się po odbytej pracy, czysto i starannie ubrani, zawsze punktualni. Pomimo najlepszej woli i pilności, trudności dla nauczyciela i uczniów były znaczne; sam zawód górników ujemnie wpływa na słuch, znacznie go z biegiem lat przytępiając. Dla tych jednak, którzy przetrwali pierwsze dni i reszta była do zdobycia. A trzeba tu było przyswoić sobie pojęcie i odróżnienie tonacji każdej melodji, odróżnić gamę durową od molowej, zasadnicze ich akordy, harmonizować frazesy muzyczne, rozkładać je na głosy, opanować cały solfeż prymitywny. Zaciskały się spracowane ręce uczniów w szczerym wysiłku, a na czoło występował pot kroplisty wskutek natężenia wszystkich władz umysłowych.

Kilku najmniej zdolnych odpadło, reszta zdołała przezwyciężyć trudności i egzamin, który się odbył w obecności Konsula z Lille, p. Gawrońskiego, dał zadowalające rezultaty.

Marzeniem górników jest utrzymanie stałego instruktora śpiewaczego dla kształcenia zdolności młodych adeptów i rozszerzenia wiadomości starszych. Ambasada Polska w Paryżu obiecała sztandar dla Związku, czekają go wszyscy z niecierpliwością.

Obecnie został zawiązany stały kontakt pomiędzy Kółami Śpiewaczemi, a Stowarzyszeniem młodych muzyków, w Paryżu, do którego też należy kierownik odbywanych kursów. Zawsze któryś z muzyków Stowarzyszenia będzie obecny na górniczych popisach

śpiewaczych, jako kompetentne jury, którego tak brak gorliwym śpiewakom.

I jeszcze jedno nieśmiałe marzenie... Górnicy wiedzą, że w tym roku ma się odbyć w Paryżu uroczystość odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza, czyby nie można złożyć chóru męskiego z najlepszych sił śpiewaczych wszystkich kół i chór ten wysłać jako delegację kopalń północnych z pieśnią do stóp wieszczka?

Należałoby wywyczyć chór ze 100 przynajmniej śpiewaków. Dużo czasu i trudu temu poświęcić, pokryć znaczne koszty podróży, ale może się to da zrobić i chyba znajdzie poparcie u władz i organizacji taka inicjatywa.

W hołdzie, który złoży Mickiewiczowi cała Polska i Francja miałyby tym sposobem swoich reprezentantów tysiące wychodźców polskich, tak wiernie przywiązanych do ojczyzny.

M. Czanska.

Douai, marzec 1928.

SZKOLNICTWO DOŚWIADCZALNE

Narzekanie na nasze szkolnictwo jest czemś tak powszechnem, że aż spowszedniało. Urągają mu wszyscy i jakkolwiek w urąganiu tem sporo jest nieraz starczego zgorzknienia, gniewu ludzkiego, że nie wszystko jest tak jak to *illo tempore bywało* — nie mniej musimy stwierdzić, że nie idzie ta dziedzin naszego życia za postępem czasu, że nie dostosowuje się do nowych wymagań życia, że posługuje się w dużej mierze starymi metodami, że brak w niej, brak jest rażąco tego, co o postępie stanowi — szukania dróg nowych — rozumnego i dobrze pojętego doświadczalnictwa. Ale powiedzmy sobie odrazu, że zorganizowanie tego doświadczalnictwa nie jest ani takie łatwe, ani takie proste.

Pierwszą zasadą doświadczenia jest swoboda — wolność czynienia eksperymentu. I tu jest istotna i największa trudność. Swoboda i etatyzm — to dwie przeciwności, które w żaden sposób pogodzić się nie dadzą. Etatyzm z natury rzeczy musi dążyć do stworzenia pewnych szablonów, ustalonych typów, jednolitości jak najdalej posuniętej. Tego wymagają względy równości obywatelskiej, stworzenia dla wszystkich jednakowych warunków, jednakowej odskoczni dla przyszłego życia, czy kariery, jak kto woli, jednolitość też ułatwia znakomicie kontrolę. Doświadczenie wymaga wyzwolenia się z pod obowiązku utrzymania jakiegokolwiek typu. Musi ono zerwać z szablonem, musi odbiegać od tego co jest, odbiegać nawet ponad potrzebę w myśl zasady Djogenesa „przesadzam, aby moi następcy przesadzać nie potrzebowali“. I oto powstaje pytanie, kto ma podjąć pracę eksperymentowania w dziedzinie szkolnictwa? Czy należy to do władz szkolnych, do państwa, do samorządów — czy też do osób prywatnych. I pozwolimy sobie tu opowiedzieć się całkowicie za tą ostatnią alternatywą.

Każdy eksperyment nosi pewne zadatki niebezpieczeństwa. Jeszcze niewiadome są jego skutki. Niewiadome są skutki w dziedzinie ogólnego rozwoju — cóż dopiero jeżeli chodzi o życie praktyczne. Czy wy-

chowa on lepsze pokolenie? Czy zdoła on w odpowiednim czasie przygotować młodzieńca lub dziecko, dociągnąć jednostkę do stopnia wymaganego przez istniejące przepisy? Czy doświadczenie, być może dając pełniejszy rozwój ogólny, nie opóźni nabycia wiadomości takich, które słusznie czy niesłusznie uważamy za konieczne i od posiadania których, znowu słusznie lub nie, czynimy zależnym posunięcie człowieka na następny stopień. Kiedy mowa o tego rodzaju ryzyku — to ktoś musi zań ponosić odpowiedzialność, a tym kimś nie mogą być władze ani komunalne, ani państwowe. Winna ona być rozłożona pomiędzy szkołę, a dobrze zdających sobie sprawę z tego co czynią rodziców, czyli te dwa, jeśli nie zawsze decydujące, to w każdym razie najbardziej uchwytne czynniki wychowawcze. A stąd płynnie i dalsza wskazówka — na pierwszy ogień w dziedzinie doświadczalnictwa powinna iść inteligencja, jako ta warstwa, która, teoretycznie przynajmniej, powinna mieć najlepszą możliwość skontrolowania szkoły. Eksperyment musi być zdrowym od wewnątrz.

Rola władz oświatowych w całej tej sprawie winna być bodaj że bierna. Jest rzeczą wskazaną z ich strony pewna pomoc materialna i bardzo luźna i indywidualnie pojęta ocena kwalifikacyjnej personelu nauczycielskiego. Mogą one postawić pewne wymagania co do przerobienia materiału — ale rozkładając go na okres znacznie dłuższy niż na rok. Absolutnie zaniechać muszą wymagania, by szkoła doświadczalna dostosowywała się do programu kursów poszczególnych klas. Powinny one nie tyle czuwać nad rozwojem szkoły, co bardzo skrupulatnie badać wyniki ich pracy, by w możliwie krótkim czasie spożytkować wyniki do jakich one doszły bez narzucania ze swej strony czegokolwiek, sprawdzając na każdym kroku, jakie

zdołoby poczynił system, co zaś przypisać należy wyłącznie talentowi nauczycieli, albo też ich wadom. Doświadczalna szkoła jednym słowem winna być laboratorium, do którego przedstawiciel władzy przychodzi po to, aby się uczyć i tylko uczyć, obserwować i tylko obserwować — w żadnym zaś razie nie po to, by narzucać coś z góry, albo krępować niewczesną inicjatywę. Jesteśmy zdania, że w ministerstwie oświaty powinien powstać specjalny organ, mający w swej pieczy tego rodzaju próby, organ raczej naukowy niż administracyjno nadzorczy, organ badawczy i sprawozdawczy — w żadnym razie instruktorski, lub naginający poczyny cudze do własnych poglądów.

Przy takim postawieniu sprawy kwestja subwencjonowania szkół doświadczalnych nie nastręczy wielkiej trudności. Popierwsze, jeżeli chodzi o pewne wkłady inwestycyjne — mogą one mieć charakter depozytowy. Mogą być udzielane w naturaljach, w pomocach szkolnych na pewien okres czasu, w którym można sprawdzić, czy szkoła daje istotnie coś nowego. Po drugie pomoc dalsza jest wynagrodzeniem niejako, za możliwość prowadzenia studjów na podstawie jej pracy, za możliwość kształcenia w zakładzie praktykantów itd.

W każdym razie sprawa szkolnictwa doświadczalnego jest już rzeczą do najwyższego stopnia aktualną i więcej niż aktualną, bo już dojrzałą. Istnieje już cały szereg prób stworzenia tego rodzaju zakładów. Chodzi o to, by nasze władze administracyjno-szkolne zastosowały się do tego z życzliwością, jakiej sprawa wymaga, by z jednej strony dały tym zakładom ramy prawne, które by nie krępowały ich rozwoju — z drugiej zaś, aby nie odmówiły im pewnej niezbędnej pomocy materialnej — nieraz decydującej o powodzeniu przedsięwzięcia.

A. Uziębło.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

O DWA SŁOWA!

Szanowny i Kochany Kolego, inaczej mówiąc, — Kochany Boy'u!

Ma Pan jednak osobliwy sposób mylenia ścieżek spokojnego bliźniego. Oto z racji świąt Wielkiej Nocy chciałem się właśnie zabierać do jakiegoś poważnego artykułu w sensie świątecznym. Żeby to i nauka wypływała z pomiernej treści i ozdoby trochę wynikło i odrobina chociażby t. zw. kojenia. Czyli tak zwanego pojednania, które na tem polega, że nie pamiętamy przyjaciółom naszym krzywd rozlicznych.

Z powodu owych krzywd właśnie, postanowiłem wdać się w tę piękną burzę literacką, jaka szaleje obecnie z powodu Akademii Literatury Polskiej.

Gdy oto przynosi listonosz pocztę a w niej list od Pana. Na odwrocie koperty nadawca: Dr. Tadeusz Żeleński (Boy).

Jeżeli pisze, — mimo, że tak często spotykamy się przecie, — to widać coś ważnego.

Czegoż więc chce — ten Boy?

Pisze Pan: „W piśmie, którego Pan jest redaktorem literackim pojawił się artykuł p. Okręta, omawiający sprawę moją z „Czasem“. Artykuł ten — przyznaje całą słuszność redaktorowi pisma, który zmienił w przedrukowanym feljtonie wyrażenia, — jego zdaniem niestosowne, na inne“.

Potem miły, tak miły w pańskich ustach komplement dla mnie. Bądźmy skromni, — opuśćmy.

Potem: „Pozwalam sobie tedy zapytać, czy w razie gdyby na Pańskim utworze redaktor jakiś dokonał podobnej operacji, usuwając to, coby mu się wydało za ostre i wpisując co innego, czyby Pan i wówczas podzielał przekonania p. Okręta?“

„Co do mnie, — twierdzi Pan w dalszym ciągu listu, — uważam nietykalność tekstu podpisanego imieniem i nazwiskiem autora za prawdziwą deklarację praw człowieka w zakresie literatury: ze zdu-

mieniem tedy widzę (spozstrzegam już drugi, czy trzeci raz użyte przez Boy'a słowo tedy, moje uko-
chane słowo, owem tedy zjednywa mnie Boy wię-
cej, niż głęboką uwagą o deklaracji praw człowieka
literackiej), że ze strony literatów nietylko nie znaj-
duję poparcia, ale wprost, — jak w tym wypadku, —
ataki“.

Proszę czytelników, by zapamiętali i niejako
przygwoźdźdźli mój incydent z owem „tedy“ Boy'a.
Szczegół drobny, okaże się zaś bardzo ważnym
w tej sprawie.

I jeszcze jedno omówienie, czy też okoliczność
bardzo dla mnie trudna: Cenię p. Okręta, jako pisa-
rza. Gdybym popełnił kiedykolwiek jakąś zbrodnię
prosiłbym p. mecenasa Okręta, by mnie bronił przed
kratkami sądowemi. Oczywiście prosiłbym wówczas
nie jednego Okręta. Prosiłbym o obronę Breitera,
Dąbrowskiego, Makowskiego, Paschalskiego, Śmia-
rowskiego, uważam bowiem, że im więcej adwoka-
tów, tem lepiej.

Atoli pośród tych kilku byłby napewno Okręt.

Cenię go jako pisarza, adwokata a dodać jeszcze
do tego wszystkiego muszę, że przepadam za kole-
gą Okrętem, jako najmilszym w świecie kompanem.

Teraz meritum sprawy:

Widzi Pan, Drogi Boy'u, w jak ciężkiej znalaz-
łem się kolizji: Po jednej stronie małe, nieświadome
nawet przekupstwo z pańskiej strony. Owe „te-
dy“. Po drugiej osobiste sympatje, szczerą przyjaźń.

Otóż miło mi oświadczyć Panu, że wszystkich
tych Szanownych Adwokatów, nawet gdyby mnie
mieli potem za niepopelnioną zbrodnię utopić w są-
dzie, że przyjaźń i wiele innych jakże wiążących
uczuc w rozprawie takiej, na takim rozstaju oddam
zawsze bez wahania w obronie jednego słowa me-
go tekstu. W obronie jakiegoś „tedy“, czy też
„gwoli!“

Ma Pan zupełną słusność, że Pan o te rzeczy
walczy. Że się Pan o to prawuje przed sądem i tak
srodze użera. I tylko ludzie, którzy nie wiedzą, nie
rozumieją, jak powstaje ów „tekst literacki“, przy-
puszczają mogą, iż taka zmiana i przykrość stąd
powstała i awantura i obraza, — to tylko widzi-mi-
się autora, mucha na jego nosie, — nie zaś głęboka
i bolesna krzywda!

Jest Pan doktorem i zasłużonym tępicielem pro-
fuzji lirycznej, niechże mi Pan jednak w tym wypad-
ku ustąpi nieco ze swych surowych zasad naukowej
dyscypliny przyrodniczej.

Twierdzę, że zmieniać komuś tekst napisanych
słów, to będzie to samo, co przyjść do kogoś, naciąć
(wcale nota bene nie zawiadamiając o tem przed-
tem) mu skórę i toczyć z niego krew. A jeszcze z tą
różnicą, że jeżeli krew tak bezczelnie komuś pu-
szczaną liczyć można na krople i miarki i kwaterki,
gdy chodzi o tekst, — miara wymyka się z pod
wszelkiego ujęcia.

Redaktor „Czasu“ — mógł „nibyto“ sądzić, że
puścił Panu z ręki, czy z uda zaledwie kilka kropel,
— podczas gdy Pan i tylko Pan, gdyż o pański tekst

chodzi, — podczas gdy Panu przez ów dowolny
skrót ubyto może aż dwie kwarty?!?

Uciekając się do powyższego porównania, — nie
żartuje. Albowiem słowa tekstu naszego, literackie-
go tekstu, nie biorą się litylko z mózgu, litylko z na-
szej umiejętności, lub zręczności. Trzeba tu czegoś
więcej! Ileż to razy czeka się właśnie na takie dwa
słowa minuty i kwadransy i godziny? I oto nagle
przychodzą z nieświadomości tajemniczej wywoła-
ne już wcale nie rozumem, czy dowcipem, lecz to-
kiem, lecz tylko tym najgłębszym szumem naszej
krwi?!

Teraz powiedzą ludzie rozważni, że Pan i ja
jesteśmy maniakami tekstu! Jakże łatwo damy sobie
we dwóch z nimi radę. Pozwoli Pan, że korzystając
z okazji wystrzeżę tu odrazu moje argumenty:

A cóż to jest naprzykład, drogi Boy'u, właśnie
naprzykład ów sąd, który Was tam w Krakowie
o dwa słowa rozsądzał? To przecie nic innego, jak
świątynia tekstu. Cóż sprawia cała zręczność roz-
prawy sądowej, jak nie, by odpowiednio pociągnię-
tym przewodem utrafić w tekst?!

Całe prawo, — to tekst i trzeba, nie jakiejś sa-
mowoli ludzkiej i nie życzeń milionów, milionów
istnień ludzkich, — trzeba tu na przestrzeni wieków
straszliwego cierpienia wielkich rewolucyj, by sło-
wa tekstu zmienić!

A cóż jest każda wiara w zwartych księgach po-
dana, — jak nie, — najświętszy tekst? I ileż krwi
i ileż łez spłynęło o jeden wyraz takich tekstów?

A cóż jest sława z wielkich czynów szalonej od-
wagi powstała? Słowo tekstu.

Tuż przy zdobytym okopie, zdobytym w sztur-
mie na bagnety, gdy strzały niosły się jeszcze po
wołyńskim lesie, gdy jeńców jeszcze obliczyć nie
zdołano, gdy nie wiadomem było jeszcze prawie, czy
za chwil kilka kontratak nie uderzy, — słyszałem
jak ówczesny podpułkownik Berbecki spierał się
najzjadlej i w pasji najgorętszej z nieśmiertelnym
majorem Wyrwą o słowa tekstu, w których ów
szturm ustalić należy!

Więc, gdy w wypadkach jawnej oczywistości
włodarze życia, szafarze spraw tak twardymi by-
wają przy obronie tekstu, czyż dziwić się należy
nam, że go bronimy, gdy w nas jednych jedynych
znajduje się poręka prawdy słów, — przez nas wy-
prowadzonych!

Dziękuję Panu, że Pan sobie przypomniał
o mnie w tych tarapatkach. Walczę po Pana stronie
na Jego zagrożonym szańcu. Czy rozprawę prze-
grał Pan już we wszystkich instancjach? Czy może
będziecie się jeszcze sądzili w Warszawie? Jeżeli
w Warszawie, to może Wysoki Sąd zawezwie mnie,
jako rzeczoznawcę! Biada wtedy „Czasowi“ i biada
mej, tak drogiej mi przyjaźni z Okrętem.

Albo też może pójdziemy z Panem, razem do
kryminału. To nic, — będziemy cierpieli za najdroż-
szą najszlachetniejszą sprawę świętych Ewangelistów,
znakomitych prawników, bohaterskich wodzów i po-
rządnych ludzi pióra.

Juljusz Kaden-Bandrowski

ZAWRÓCIŁ ŚWIAT...

*Zawrócił świat z nad otchłani —
Minął huragan zbrodni —
Przewiał po pożarach dymy.
Zdawało się, że ludzie w ogniu zhartowani,
Wstaną krwią nowi, życia wspaniałego godni,
Olbrzymy!*

*Cóż — wstają, jak po deszczu na cmenta-
rzach beldy,
Purchawki, rosące dymem wyżej tuji,
Pleni się ludzkość - kaleka — —
Napróžno myśl wśród tej grzybo-zgnitej giełdy,
Wśród tych dancingowych niemrawych
podrygów z tęsknotą upatruje
Człowieka.*

WE. ORKAN

WIELKANOC

*Zakurzone serca piernikowe
I zwiędzłe baranki z krochmalu.
Do was Chrystus wzniosł zmęczoną głowę,
Gdy się z grobu wielki głaz odwałił.*

*Do was w brudnych pudełkach drzemiące,
Papierowe, złamane anioły,
Zwrócił Chrystus spojrzeń swoich słońce,
„Zmartwychwstańcie“, po ciechu zawołał.*

*Na samotnych, przedmiejskich ulicach,
Smutnym dzieciom zapatrzonym w gwiazdy,
Chrystus blaski zielone podsycał,
Woził sen księżycowym pojazdem.*

*Gdy Bóg niebo obrusem zastaniał,
I zastawiał święcone złociste,
W Wielką Noc, w świętą Noc Zmartwychwstania
W sercach dzieci zamieszkał, Chryste.*

Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa

CROCE, FUTURYZM I FASZYZM

Powyższe tematy porusza prof. Maurycy Mann w książeczce p. t. „Najnowsze prądy umysłowe zachodniej Europy“. Cz. II. Włochy. (Wydawnictwo Koła Historyków S. U. W.).

Aktualne kierunki umysłowe we Włoszech według prof. Manna, nie są, jak w innych krajach, pochodzenia wojennego, lecz są dalszym ciągiem twórczych fermentów z przed roku 1914. Wyjątek stanowiłaby ideologia faszystów, będąca wynikiem przeżyć społecznych ostatniej doby. Co prawda możnaby zauważyć pewien związek między ener-

tycznym nastawieniem włoskiego przedwojennego futuryzmu z bojowym nastrojem faszystowskim. Dość przypomnieć hasła z pierwszego manifestu futurystów: „Chcemy śpiewać miłość niebezpieczeństwa, energię i zuchwałość“, „chcemy wielbić ruch agresywny, gorączkową bezsenność, krok gimnastyczny, skok niebezpieczny, bicie w twarz i uderzenie pięścią“. Nie bez kozery więc futuryści opowiedzieli się w chwili przewrotu za ideologią Mussoliniego, uczynili to zaś z najwyższym entuzjazmem. No dziwnego. W swoich nastrojach i teoriach artystycznych byli oni prekursorami tych form życia, które czynem wypełnił dyktator Włoch.

Po omówieniu praktyk faszystowskich i koncepcyj metafizycznych filozofa faszystów, a zarazem współczesnego ministra oświaty Gentile'go, przechodzi prof. Mann do zreferowania wielostronnej działalności reprezentatywnego myśliciela Włoch — Croce'go. Słynna estetyka Croce'go jest w ścisłym związku z jego systematem filozoficznym. Podstawą tego systematu (podobnie jak u Hegla) jest pojęcie ducha jako jedynej rzeczywistości. Istotną cechą ducha jest działanie: teoretyczne lub praktyczne. Działalność teoretyczna ma dwa stopnie: intuicję (wyobrażenie) i pojęcie, czyli zracjonalizowanie intuicji. Intuicja jest zatem poznaniem doraźnym i bezpośrednim, opartem na wrażeniach bez udziału rozumowania, ale z udziałem wyobraźni. Intuicja czysta, doskonała jest sztuką, wyrazem (espressione). Intuicja, której nie odpowiada wyraz jest niedoskonała. Refleksja, rozumowanie, tendencja moralna lub praktyczna, są to czynniki pozaestetyczne i szkodliwe dla sztuki.

Z takich mniej więcej założeń wychodzi Croce w swojej obfitej działalności krytyczno-literackiej.

Pisał studia o pisarzach współczesnych i dawniejszych. Przedcedzał niejako przez sito swojej teorii twórczość wielkich pisarzy, aby oddzielić w niej czynniki czysto estetyczne od pozaestetycznych. W ten sposób zakwestjonował wiele utartych sądów o sławach literackich. Twierdził np., że tylko Ariosto i Szekspir byli jedynie artystami, ale nie zawsze byli niemi np. Dante lub Goethe.

Prof. Mann wskazuje na związek, jaki miała ta rewizja ustalonych poglądów na „starych majstrów“ z obrazoburczym programem futurystów. Croce przygotował i poparł do pewnego stopnia ich bezwzględne przeciwstawianie się i napaści na sztukę przeszłości i jej formy. Futuryzm ze swojemi jaskrawymi i rewolucyjnymi teorjami arcydzieła literackiego nie stworzył. Prof. Mann przyznaje jednak, że prąd ten dokonał pożytecznego fermentu i w literaturze, zmuszając poważnych nawet pisarzy paseistycznych do zwrócenia uwagi na swój styl w kierunku uwzględnienia bezpośredniości artystycznej i współczesności.

Jasny i przystępny wykład prof. Manna utrzymany jest w tonie obiektywnym z podkreśleniem przede wszystkim pozytywnych wartości i zdobyczy współczesnych kierunków umysłowych we Włoszech.

A. Barta

TRYLOGJA UKRAIŃSKA

Nowa powieść Bohdana Łepkiego „Nad Desną”, to 5 tom jego historycznej trylogii „Mazepa”. Autor kreśli w niej obraz bohaterskiej walki hetmana Iwana Mazepy o niepodległość Ukrainy.

Z jednej strony car Piotr i król August II, z drugiej Mazepa, Karol XII i Stanisław Leszczyński. Dokoła nich ich wodzowie, dyplomaci, stronnicy. Ścierają się dwa światy, waga się losy państw, a bitwa pod Połtawą rozstrzygnie o przyszłości wschodniej Europy na przeciąg dwustu lat.

Trylogja Łepkiego oparta jest na obfitym materiale aktowym, ale autor nie wiąże się wynikami dotychczasowych badań, konstruuje swój własny pogląd na sprawę, zwracając baczną uwagę zarówno na psychologię mas, jak i wybitnych jednostek. Piotr Wielki i Rosja, Karol XII i Szwedzi, Mazepa i naród ukraiński — gienjusz i masa, to zdaje się najbardziej pociągać autora. A zwłaszcza stosunek Mazepy, jako budowniczego nowego państwa do społeczeństwa ukraińskiego, wyczerpanego walkami w czasach Chmielnickiego i w okresie Ruiny.

Tragedja wybitnej jednostki, przerastającej otoczenie, stanowi główny motyw powieści. Tragedja Mazepy jest tragedją Ukrainy, której symbolem jest Motrja. Stary hetman kocha młodą, piękną, bogatą Motrję, jak przyszłość Ukrainy, Motrja kocha Mazepę, jak wcielenie rycerskiego ducha z poprzedniego stulecia, kiedy rycerstwo ukraińskie nie było jeszcze zarażone „trucizną moskiewską”, przekupstwem, żądzą honorów, prywatą. Ojciec Motrji nie rozumie swej niesamowitej córki, matka (ukraińska Lady Makbet), nie chce rozumieć, bo nie chce widzieć córki hetmanową, lecz sama nią być pragnie. Stąd kolizja, która dostarcza powieściowego wątku dla 2 pierwszych tomów („Motrja”).

W trzecim tomie („Nie zabijaj”), dramat rodzinny potęguje się momentem historycznym. Mazepa postanawia zerwać z carem, a przystąpić do sojuszu z Karolem XII i królem Stanisławem. Koczubejowie donoszą o tem carowi. Jest to moment najwyższego napięcia. Mazepa zwycięża, Koczubej gardłem oplaca przegraną, Motrja wychodzi za mąż za Czujkiewicza (rycerz bez strachu i skazy), wóz dziejów Ukrainy toczy się nowymi szlakami.

W tomie czwartym („Baturyn”), Mazepa łączy się ze Szwedami. Car mści się, Menszikow oblega hetmańską stolicę, Baturyn. Ta broni się po bohatersku, ale zdradza ją pułkownik Nos, Moskale wycinają w pień i zostawiają na jego miejscu tylko niebo i ziemię. W obronie bierze udział Motrja, dowódzca grodu Czeczeln ginie na mękach, tak samo Kenigzen.

Tom piąty („Nad Desną”) przenosi nas nad tę rzekę, gdzie połączyły się armje szwedzka i ukraińska. Nowa kolizja, nowi bohaterowie. Mazepa nie wie, że Baturyn zdobyty. Rad spieszyć mu z pomocą, król Karol ma swoje plany. Wreszcie przychodzi do porozumienia; sojusznicy ciągną na odsiecz, lecz po drodze dowiadują się, że już za późno.

Na Baturyn'e załamuje się plan cały. Ginie tam 10 tysięcy wyborowego żołnierza, Menszikow

zdobywa artylerję, wywozi obfite zapasy amunicji, składy żywności i bogatą kasę hetmańską.

W tomie 6 akcja potoczy się ku swemu tragicznemu końcowi. Bitwa pod Połtawą rozstrzygnie o losach Ukrainy na całe dwa stulecia. Ale idea Mazepy nie zginie. Pozostanie niezłomną „niesamowitą”, jak dusza Motrji.

Powieść duża (około 2,000 stronic), została przyjęta przez krytykę z uznaniem, a przez czytającą publiczność z entuzjazmem. Jest to pierwszy tego rodzaju utwór w literaturze ukraińskiej, pierwszy szeroko traktowany obraz walki o wyzwolenie narodu ukraińskiego z jarzma niewoli moskiewskiej i to nie tylko politycznej, ale też kulturalnej, walki nie o państwo jedynie, ale też i o duszę narodu. Jako taka, według zdania krytyki, powinna mieć wpływ znaczny na rozwój ideologii ukraińskiego społeczeństwa w przyszłości: „z duchem Piotra, czy z duchem Mazepy?” — na to pytanie musi dać odpowiedź każdy myślący czytelnik trylogji Łepkiego, tembardziej, iż pytanie to wciąż jeszcze jest aktualnem.

N. S-ki

TRZEBA SIĘ BRONIĆ

Kochani Troglodcy z prasy bardzo narodowej napadają na mnie obecnie z powodu, iż Erenburg napisał pono w Izwiestjach moskiewskich artykuły o Polsce niezgodne z prawdą i nam uwłaczające. Jakże mogłem pisać wstęp do powieści tak przewrotnego człowieka?! Ach tak, pisałem ów wstęp, — głoszą te pisma, — aby gdy przyjedzie do Polski Erenburg, móc z nim zjadać sute obiadki i kolacyjki!

W odpowiedzi zazdrosnym o obiadki i kolacyjki zauważyć muszę, że niewiele mam z owych obiadek pociechy, jako, że cierpię na artretyzm a więc: wina — nie, wódeczki — nie, mięsa — nie, konserw — nie, nic słodkiego, kwaśnego, pieprznego) a po nabytych na wojnie wrzodach żołądka (ulcus ventriculi rotundum) w jedzeniu bardzo muszę być oględny.

Pozatem sprawa publicystycznej działalności p. Erenburga jest sprawą jego publicystyki. Gdybym dziś, już po artykułach Erenburga natrafił w jego działalności na tak ciekawą książkę jak Juljo Jurenito to i dziś napisałbym do niej wstęp, rozważający właściwości stylu i artyzmu pisarza, bez względu na jego działalność publicystyczną.

My bowiem Europejczycy sędzimy rzecz wedle jej wartości a nie wedle poglądów, czy przekonań politycznych autora. Ten rodzaj miary i osadu odróżnia nas właśnie od dzikich tępych manier bolszewickich, — czy też endeckich.

Kochani Poczciewcy z Przeglądu Księgarskiego w numerze 13-ym b. r. nazywają mnie człowiekiem upartym, mówmy szczerzej — maniakiem, a to z powodu, iż walcząc o sprawę utworzenia Akademji Literatury Polskiej wyrzucam kapitałowi księgarskiemu wyzysk pisarzy. Oraz, iż przypuszczam, że z powodu powstania Akademji, księgarze będą pro-

testowali przeciw utworzeniu Skarbu Narodowego Literatury.

Kochani księgarze w Przeglądzie swym twierdzą, iż wykazali „bezpodstawność zarzutów w świetle cyfr“. Panowie księgarze, — ostrożnie, ostrożnie z cyframi! Nie bardzo to chyba tego i dobrze było z temi cyframi, jeżeli ustawodawca Rzeczypospolitej, układając ustawę o prawie autorskiem musiał Was poobciążać rygorami, zaiste nieprzynoszącemi Wam zaszczytu!

W świetle cyfr i w świetle praktyki życia bardzo dziwnie te sprawy wyglądają, skoro wydawca na wydaniach autorów wcześniej, czy później domki sobie buduje, podczas gdy autor wcześniej, czy później pracę całego życia w szpitalu kończy, lub o dar z łaski kołata u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Twierdzenie Panowie, że nie macie nic przeciw utworzeniu Akademii. Ale jeżeli przy tej Akademii utworzony zostanie fundusz Skarbu Narodowego Literatury i Sztuki, jeżeli na ten fundusz wypadnie Wam (którzy myślicie mniej o ubezpieczeniu waszego pracownika - autora, niż najbrutalniejszy kapitał węglowy myśli o ubezpieczeniu robotnika) zapłacić dwa procent od setki zarabianej na Mickiewiczu, Słowackim itp. — to przecie wiadomo, że zapłacicie szlochom żalonym na całą Polskę, jak płakaliście już, gdy poseł Konopczyński biegł z tą sprawą po Sejmie.

Wielce Szanowna Dr. Jadwiga Borucińska w numerze „Robotnika“ z 2 kwietnia w artykule p. t. „Wojującemu Kościołowi Literackiemu w odpowiedzi“ dowodzi dość stanowczo, iż nie rozumie zupełnie, o co walczymy. Sądzi bowiem, iż my ogłaszając głosy uczniów, skarżących się ustawicznie na program i sposób wykładu języka polskiego, oraz głosy profesorów, jak okazuje się z ankiety, przeciwnych dzisiejszemu systemowi, — godzimy w polonistę, w nauczyciela języka polskiego.

Tymczasem ankieta nasza zmierza do wręcz odmiennego celu: wykazuje ona niezbitcie, iż system dzisiejszy niecierpliwi ucznia, przeciąża profesora a szkodzi szerzeniu miłości ojczyznego języka.

Trudno zaiste o większą maskaradę, czy też nieporozumienie, jak ów patos broniący na łamach „Robotnika“ najgorszych, najbardziej zaśniedziałych sposobów i metod.

Wypaliwszy nam srogie kazanko p. Dr. Borucińska domaga się (słusznie) poprawy losu polonistów (wyższe pensje, urlopy płatne roczne, egzemplarze okazowe — dla kilku tysięcy polonistów w Polsce!? Bilety do teatrów itp.). Zarzuca nam demagogię (niestety milczy wytrwale w sprawach walki z kapitałem księgarskim) w obliczu „polonistów broczących krwią z rozdartych płuc“.

Oburza nas ciężki los polonistów, lecz stwierdzić musimy, iż los ten w porównaniu z losem najślawniejszych pisarzy polskich jest rajem! Mocny Boże, — poloniści otrzymują co miesiąc pensję! Czy wie Pani o tem, że autor polski sporządzając tom prozy, pracować nad nim musi rok a w postaci ho-

norarjum autorskiego otrzymuje za tę pracę wynagrodzenie, równające się trzem miesiącom lichego bytowania?!

Nie radziłbym nawet tak biednym ludziom jak nauczyciele-poloniści licytować się o biedę z pisarzami polskimi!

J. K. Bandrowski

O ROZWÓJ POLSKO - WĘGIERSKIEJ ŁĄCZNOŚCI INTELEKTUALNEJ

(Wywiad „Głosu Prawdy Literackiego“
z prof. Tomcsanyim).

Mało mamy przyjaciół na świecie.. Lata przymusowego milczenia zrobiły swoje. Teraz gdy od początku uświadamiać musimy Europę o naszym dorobku, wniesionym w skarbnicę ludzkości, jest każdy przyjaciel Polski dla nas specjalnie drogim. A takim przyjacielem i to rzadkim typem przyjaciele jest prof. Jan Tomcsanyi.

Wpatrzony w tę twarz o przenikliwych, mądrych oczach, wsłuchany w mowę polską brzmiącą nieco oryginalnie(o! bo język polski to dla cudzoziemca nielada orzech do zgryzienia) czuję, że nie łączności zadzierzgnięta między dwoma narodami to rzecz wielka, to krok do ideału braterstwa ludów.

Prof. Tomcsanyi podejmuje z prawdziwą węgierską gościnnością. Na stole pojawia się grzeczna butelka tokaju.

Pan profesor opowiada dzieje swej miłości do Polski. Już chyba z ćwierć wieku upłynęło, gdy poznał nasz język i postanowił poznać nasz kraj. W ciągu szeregu lat następnych odwiedza Polskę, podówczas jeszcze na trzy części rozdarta. Wierzył, że będzie inaczej, wierzył, że przyjdzie rok, w którym odwiedzi Polskę wolną i zjednoczoną. I dziś przyjechał, aby okres urlopu spędzić w ulubionej krainie, odwiedzić starych przyjaciół i wrócić do Węgier ze świeżym zapasem wrażeń. A potem pisać, uświadamiać o Polsce, o naszej literaturze i jej najnowszych dziełach.

Tyle o przeszłości i zamiarach. Ale to część dopiero. Praca nad wytworzeniem polsko-węgierskiej łączności, nad wytworzeniem podstaw dla wzajemnego poznania jest z natury rzeczy obliczona na czas bardzo długi. Przeciętny węgier myśli o Polsce jak o byłym zaborze austriackim o t. zw. Galicji. I dużo jeszcze wody upłynie zanim z konsekwentnej pracy wyniknie owoc wzajemnego zrozumienia i łączności. Głównym zadaniem takiej akcji jest kultywowanie literatury polskiej na Węgrzech.

Zapytuje, oczywiście, p. profesora co dotychczas węgry znają z literatury polskiej. Znają Sienkiewicza (zrozumiałe!). Znają szereg drobniejszych utworów. Ale słusznie podkreśla prof. Tomcsanyi, że dla fundamentalnego wprowadzania literatury polskiej współczesnej do Węgier nie należy pracy przekładowej rozdrabniać, a wyjść na forum literatury z dziełem fundamentalnym, z „Chłopami“ Rey-

monta. Umowa w tej sprawie została już podpisana z jedną z największych firm wydawniczych na Węgrzech.

Dla prowadzenia pracy na większą skalę trzeba ludzi. Trzeba przygotowania kadry węgry, znających język i kulturę polską i Polaków, znających Węgry. Grupa przyjaciół Polski na Węgrzech ufundowała stypendjum dla studenta polskiego, który po ukończeniu studjów w Budapeszcie wróci do Polski i będzie czynnikiem propagandy kultury węgierskiej. Niewątpliwie stowarzyszenie polsko-węgierskie w Warszawie pomyśli o zrealizowaniu takiego stypendjum w Polsce dla węgry. Bo przecie bez przyrostu elementu polakoznawczego na Węgrzech nie będzie miała cała akcja odpowiedniego rozmachu i tempa. Był na Węgrzech jeden dobry tłumacz, Karol Banigay, ale zmarł przed niedawnym czasem. A trudno jest, żeby jeden człowiek robił wszystko. Jeśli chodzi o pracę w Polsce to wielkie uznanie należy się p. Adorjanowi Diveky, który w Polsce przebywa od lat 11-tu. Na Węgrzech wiele się przez ten czas zmieniło...

Chwila pauzy. Tokaj jest świetny! A propos tokaju, opowiada profesor ucieśzną historję. Oto w jednej ze swych podróży do Polski zabrał ze sobą 3 butelki wina. Na granicy polskiej, podczas rewizji celnej urzędnik zwrócił uwagę na paczkę z winem i zapytał:

— Co to jest?

— Wino!

— Ale ile tego wina?

— Trzy butelki!

— Zawiele, musi pan oclić.

Nie pomogły żadne perswazje.

Wtem urzędnik zapytał:

— A pan jakiej narodowości?

— Węgier!

— No! jeżeli pan węgier to niech to winko jedzie!

Wracając do sprawy łączności intelektualnej polsko-węgierskiej podkreśla profesor Tomcsanyi ogromne znaczenie poznania kraju. Wycieczki wzajemne młodzieży polskiej i węgierskiej przyczynia się do wytworzenia kontaktu i zainteresowania.

A co z literatury węgierskiej należałoby tłumaczyć na język polski?

Przedewszystkiem utwory Gezy Gardoniego, najoryginalniejszego z nowszych twórców węgierskich — oświadcza p. profesor.

Profesor Tomcsanyi pozostaje jeszcze u nas kilka tygodni. Wygłosi prawdopodobnie odczyt o jednej z aktualnych kwestyj węgierskich. Żegnam profesora, dziękując mu za łaskawe informacje. Obyśmy jaknajwięcej takich przyjaciół mieli na szerokim świecie.

A. G.

W OJCZYŹNIE IBSENA

..... Wywiad „Głosu Prawdy Literackiego“
z Ferdynandem Goetlem.

Norwegja, małe państwo o ludności przewyższającej zaledwie 2-krotnie liczbę mieszkańców Warszawy, zdobyła się na prawdziwie wspaniałe uczczenie pamięci swego największego pisarza. Uroczystości ibsenowskie były zakrojone na olbrzymią skalę. Szereg odczytów i przedstawień teatralnych, wielkie bankiety na cześć przybyłych gości wypełniły aż nadto przeładowany program. Ze wszystkich stron świata przybyło około 80-ciu delegatów. Szczególnie licznie reprezentowane były Niemcy i Francja. Delegacja polska znalazła się wśród istnej wieży Babel narodowości i języków.

Mieliśmy nielada kłopot ze słuchaniem norweskich odczytów. Na szczęście przygotowano streszczenia w języku francuskim. Francja była bardzo licznie reprezentowana. I tu niestety na neutralnym terenie nie udało się uniknąć francusko-niemieckich antagonizmów. Po każdym przemówieniu francuza przemawiał Niemiec i odwrotnie. Doprowadziło to do następującego faktu: na 2-im wielkim bankiecie ustalono, że przemawiać będą tylko dwaj mówcy, prezes rady ministrów i najstarszy gość. Najstarszym był Amerykanin, prof. Johnson, który podczas swego przemówienia wypowiedział zdanie, że pierwszą propagatorką Ibsena w Ameryce była... aktorka polska Helena Modrzejewska. Oświadczenie to wywołało wśród Niemców ogólne poruszenie.

A propos znaczenia Polaków dla literatury norweskiej przypomnieć należy odpowiedź Knuta Hamsuna na ankietę jednego z pism norweskich w sprawie książki, która wywarła największy wpływ. Hamsun odpowiedział, że... pamiętniki Rufina Piotrowskiego o ucieczce z Syberji.

Książkę tę czytał Hamsun w przekładzie duńskim z roku 1862. Chce ją obecnie wydać największa firma wydawnicza Guildendal-Verlag, z przedmową Hamsuna. Prócz Sienkiewicza nie tłumaczono bowiem żadnego polskiego autora na język norweski.

— Będzie to pierwszy krok chyba na polu zbliżenia polsko-norweskiego?

— Niestety! Dotychczas nie w tym kierunku nie robiliśmy, nie staraliśmy się o wywołanie zainteresowania dla literatury polskiej. Nie posiadamy w całym kraju ani nawet lektoratu języków skandynawskich. Nikt prawie nie zna języka norweskiego. Nie dziwne, że w takich warunkach nie można było mówić o jakiejś łączności intelektualnej z ojczyzną Ibsena.

— A w Norwegji czy wiedzą coś o nas? — Bardzo mało! Znają Polskę z historii. O współczesnej Polsce wiedzą niewiele. Nieliczne wiadomości, które tu dochodzą, przybywają przeważnie z Niemiec po odpowiednim spreparowaniu. Odnoszę jednak wrażenie, że mimo to urabianie opinji, jest Norwegja raczej nam przychylna. I dużo można będzie zrobić przez odpowiednio poprowadzoną akcję. W kierunku należytego informowania Norwegji o Polsce oddaje nieocenione usługi znany pisarz duński p. Sophus Michaelis. Był

on w roku ubiegłym w Polsce i od tego czasu datuje się jego przyjaźń dla nas. Głosi sławę Polski i jej literatury na każdym miejscu. Spotkaliśmy się z p. Michaelisem na uroczystościach ibsenowskich.

— Czy wszedł pan w bliższy kontakt z delegatami innych krajów?

— Owszem w rozmowach zajmowaliśmy się Polską i naszą literaturą. W pewnej rozmowie wspomniałem o sprawie Akademii literatury. Wywołało to niesłychane zainteresowanie. Sprawa Akademii Literatury w tej czy innej formie jest aktualna wśród wszystkich. Sama wzmianka, że u nas coś się robi w tym kierunku wywołała szereg dyskusyj. Uważano ogólnie, że utworzenie Akademii w Polsce, będzie precedensem niezwyklej wagi dla innych krajów. Jestto moment dla zjednania sobie sympatji całego świata kulturalnego. Słowem sprawa pierwszorzędnej wagi dla nas na forum międzynarodowym. Moment ten należy koniecznie wyzyskać.

W związku zaś z akcją, mającą na celu zbliżenie polsko-norweskie to podczas kongresu Pen-klubów, który odbędzie się latem w Oslo, zaprosimy Hamsuna do Polski. Tyle o naszej wizycie w Norwegji.

a. g.

ZE ŚWIATA

W Ameryce sprzedano jeden z rękopisów Conrada (Korzeniowskiego) za 9,000 dolarów. Jest to cena rekordowa, wyższa od tej, którą płacono za rękopisy Beethovena lub Mozarta.

* * *

Turecką powieściopisarkę Suad Chalem oskarżają o przeciwreligijne występy. Nowa turecka ustawa przewiduje za to karę od 3 do 6 miesięcy więzienia.

* * *

Najpopularniejszym francuskim autorem jest przecież Emil Zola. Od jego śmierci (1902) dotychczas rozeszło się jego powieści około 2 miliony egzemplarzy.

* * *

W Biszowsburgu, gdzie Conrad (Korzeniowski) spędził ostatnie lata swego życia, postawiono pomnik temu wybitnemu powieściopisarzowi i wydano w 2 tomach jego listy p. t. „Żywot i dzieła Z. Conrada”.

* * *

„Leniński Instytut” wydał dzieła Lenina w przekładzie na język niemiecki (25 tomów wydawnictwo „Literatur u. Politik”).

M. M.

NIE PIEPRZ, PIETRZE, CZYLI CIENIE NA WIETRZE

Dobry żart, tynfa wart. Niewątpliwie wiele tynfów wartę „Cienie na wietrze” p. Stefana Napierskiego. Toteż z całą świadomością swojej wartości, autor oświadcza, że „czuje mimo wszystko

wielkie młyńskie koło, miazdzące kości jego ku pożytkowi dnia, który wszędzie”. Dla bylejakiej przychyny, wiadomo, nikt nie podkłada swoich kości pod tramwaj, czy pod młyńskie koło, dlatego warto się zatrzymać nad spektaklem, który nam obiecuje p. Napierski. „Słowa moje, powiada, są obroną przeciw śmierci”.

Możemy współczuć człowiekowi, który tak słabą ma obronę przeciw śmierci, pocieszamy się jednakowoż, że i najpotężniejsza obrona diabła tam pomoże i śmierć czeka tak samo w konkluzji p. Napierskiego, jak mnie i jak ciebie, przyjacielu. Inna rzecz... nieśmiertelność, do której cicho i problematycznie wzdycha niejedyn męczennik wschodzącego dnia.

W Cieniach na wietrze, czy Wietrze na cieniach (rzecz tak czy owak fizycznie niemożliwa) uderza przedewszystkiem aromat erotyzmu. Naparfumowane saszetki nakłada p. Napierski na chybił trafił, gdzie trzeba i gdzie nie potrzeba.

... Każda gra jest zabawką w miłość. (Tak. Na przykład jakie quantum erotyzmu mieści się w myśleniu śledziennika, zajętego wyłącznie swoim katarciem żołądka!).

... Odważniej myśli się w ciemnościach. (Słusznie. Dlatego zapewne ludzie tak lubią kino, a strusia: chowają głowy w piasek).

... Wszelkie kolekcjonerstwo jest odmianą erotyzmu. (Naprzykład kolekcjonowanie znaczków pocztowych).

... Kobieta seksualizuje świat. (Mężczyzna odseksualizuje świat, a zatem hermafrodyta jest owym złotym normalnym środkiem).

... Szczęście jest pojęciem erotycznym. (Na przykład szczęście w trente et quarante).

... Ustawianie słów, spajanie sylab: zmysłowa przyjemność. (Wyobraźmy sobie zmysłową przyjemność nauczyciela ludowego, uczącego na tablicy ustawiania słów i spajanie sylab).

... Seksualizm jest mitotwórczy (Grafomantwórczy też).

... Subtelność i inteligencja pederastów jest pozorna: nigdy nie trafia w sedno. (Słusznie. Wilde nigdy w sedno nie trafił, natomiast do więzienia).

... Przyjaciół jest to powiernik komplikacyj erotycznych. (Nie dziwnego że tak mało mamy przyjaciół).

... Aby człowieka pozbawić kultu religijnego, trzeba go wykastrować, bo płeć jest mytotwórcza. (Grafomanotwórcza również. A co trzeba zrobić, aby pozbawić grafomana potrzeby pisania?!).

... Każdy jest starszy o 9 miesięcy. (Czytałam ten aforyzm w Szczytku i zapytywałam redakcję, co z niedonoskami?).

... Hermafrodyta: dwoistość przewyciężona. (U ostryg może, ale nie wiem czem przewycięża dwoistość hermafrodyty — człowiek?).

... Jedynie niewątpliwie istniejącym jest uścisk miłosny. (Spytajmy Poschoffa czy nieistniejącym jest uścisk Stekkera?).

Wszystko jest u p. Napierskiego erupcją erotyzmu. Sport, fortepian, lokomotywa, mah-jong, kolekcjonowanie chrabąszczy, ciotka, alfabet, Goethe, religia — jedno tylko nie podpada ognistej rubryce, mianowicie sielanka. „Sielanka jest aseksualna, powiada, i dlatego światopogląd księdza jest bezpłciowym optymizmem“. Tą właśnie drogą dedukcyjną poszedł Orygenis i za to został ohne weiters z Kościoła wykluczonym.

Poza erotyzmem zajmuje się p. Napierski także rozmaitemi osobistościami, z których czyni przedziwną sałatkę francuską, à la bretonne, drobno posiekaną.

... Goethe, stary lubieżnik, nieznośnie normalny, przemieszany z płaskością.

... Napoleon drobnomieszczanin z wyobraźnią. Morand: dyletantyzm seksualny. Kaden: tysiącokamucha (dlaczego nie tysiącokam żyrafa?). M. J. Wielopolska: sfuszerowana George Sand (Dlaczego nie sfuszerowana Cwerciakiewiczowa?). Pan Bóg: krótkowzroczny profesor w kusem futerku ze żrebaków (dlaczego nie z oposów naprzykład?).

O innych zjawiskach czytamy:

... 40 nr. kołnierzyka: światopogląd. (Zrozumiałe byłoby 44, ale 40 !? !?).

... Śmierć: świat minus jednostka. (No a jeżeli nie daj Boże cholera, albo nagminny tyfus plamisty?).

... We Włoszech jest więcej kotów, bo więcej słońca, mogą lazić po dachach i wygrzewać się. (Bardzo głębokie spostrzeżenie, ale dlaczego jest we Włoszech więcej tenorów, albo mandarynek, które wcale po dachach nie chodzą?).

... Pudel przed sklepem: zamyślony. (Kropka. A foxterrier przed gmachem konserwatorium? albo pincz przed domem warjatorów?).

... Czarna kawa kwaśna. (Dobrze, a ocukrzona czarna kawa?).

... Kobiety: rozdzierają się jak krowy. (Kaifasz rozdarł swoje szaty — patrz Król Królów! — ale kiedy i kto rozdarł krowę?).

... Ubóstwo: kartoflanka. (Kropka. Dlaczego nie: brak kartoflanki?).

... Szklarz. (Kropka. Dlaczego nie szwagier?).

... Szarańcza: skacząca. (Dlaczego nie latająca? Szarańcza też lata).

... Krawiec: napaśtek. (Słusznie, ale jeżeli szyje na maszynie?).

... Po spalonym papierze zostaje tylko kupka popiołu. (Zaraz spróbujemy).

... Mleko jest różowe. (Kropka. Jeżeli nalejemy doń pipermentu, może być i zielone).

Chłopcy robiący do łóżka. (Kropka. Mój Boże! cóż nam to szkodzi?).

... Spryt: stary z rudą brodą żyd. (Brak sprytu: młody żyd bez rudej brody. Słusznie).

... Essay: potrawa podana na półmisku. Niemoralność i zbytek. (Co robić aby wyrzucić potrawę z rondla, tak aby nie była niemoralnością? Podać ją w kapeluszu? w futerale od saksofonu, czy też w umbrze od lampy?).

Naostatek tłumaczy nam p. Napierski, dlaczego nie używa dwojga imion, np. Stefan Karol,

tak jak nieprzymierzając arcył się z Żywca, albowiem jest to „drobną pretensją do nieśmiertelności“. Genjusz p. Napierskiego zaś, ma najwidoczniej dużą do nieśmiertelności pretensję, z czego wyciągamy wniosek, iż najgłębszym aforyzmem z „Cieniów na wietrze“, jest aforyzm: „genjusz nie chroni od nieszczęścia“.

O tak! W każdym wypadku.

M. J. Wielopolska

NAD KSIĄŻKĄ

G. K. Chesterton. *Grzechy księcia Saradine. Dalsze opowiadania z cyklu: „Niewinność ojca Browna“*. Warszawa. „Rój“. 1928: str. 218 i 6 ul.

Jak skapstwo Harpagona było niegdyś wynalazkiem i zdobyczą, a stało się już kategorią psychologiczną, tak stanie się nią niewinność (właściwie: prostoduszność) ojca Browna.

Ten katolicki ksiądz o groteskowej powierzchowności i zachowaniu jest wynalazkiem wyższym ponad patenty. Chesterton stworzył nowy gatunek literacki: psychologiczną nowelę kryminalną. W jego ujęciu pointe'a przestaje być sama zbrodnia i jej wykrycie, a sens naczelny zdobywa motywacja psychologiczna zbrodni. Najczęściej wychwala się Chestertonowi za jego paradoksalność, jakgdyby była ona czemś, wyrzuconem na zewnątrz indywidualności tego pisarza, czemś obcem jednak naturze ludzkiego myślenia. Ale paradoks Chestertonowi jest jedynie formą myślenia, jest sposobem nowego kojarzenia pojęć. I najwspanialszym tego dowodem są właśnie nowele, których bohaterem jest ojciec Brown.

Sensacyjnej literatury bronili już Chesterton w „obronie niedorzeczności“, a w swych nowelach usprawiedliwił ją jeszcze lepiej. Te nieustające historie zabójstw i tyranii, zadanych gwałtów i podstępnych przeciw nim obron są odnowieniem zupełnem ustalonego już, żelaznego kapitału zbrodni. Myślę, że każdy po przeczytaniu „Prostoty ojca Browna“, czy „Grzechów księcia Saradine“, ujrzy się bogatszym o... zbrodnię. Świat, ujrany wypukłymi oczyma Chestertonowi zmienia swą głębię, komplikuje się, niebezpieczniej, zmusza do głębszego nabierania tchu.

Sensacyjność Chestertonowi nie jest sensacyjnością Conan-Doyle'a. Są to zupełnie obce sobie domeny. I ta pierwsza będzie najprawdopodobniej mniej od tej drugiej popularna. Jest prosto trudniejsza, wymaga większego wysiłku uwagi. Bo przedewszystkiem sensacyjna nowela Chestertonowi nie stanowi zadania do rozwiązania, jak to bywa u Conan - Doyle'a, ale jest dramatycznym komentarzem zbrodni, komentarzem nie do przewidzenia, olśniewającym swą inteligencją. Chociaż mówi się często, że życie jest obecnie równie sensacyjne, jak literatura, to pogląd ten jest niczem innym, jak schlebaniem życiu. Sensacja jest córką fantazji. G. K. Chesterton, autor sensacyjnych nowel jest bogatszy w fantazję od antycypującego przyszłość Wellsa. Jest bliższy dniu dzisiejszemu, niż jutru. Nie — sensacyjny pisarz, ale poeta sensacji

H. D.

WYPISY BIBLIJOFILSKIE

O rzemieślnikach ksiąg.

Z tej liczby ksiąg, które od stworzenia świata wyszły, (a wielka ich jest gromada), nie mówię większa połowa, ale setna część jest, która ująć może, a bardzo mała garstka takich, które się dobremi nazwać mogą. Książek w każdym narodzie tak wiele wyszło, jak włosia na głowie, a pisarzy dobrych w każdym kraju i w każdym narodzie tak mało jest, że ich na palcach zliczyć można. Dwa są znaki upadłych nauk, gdy albo żadna książka nie wychodzi, albo wiele bardzo; i drugie prawie gorsze jest od pierwszego, bo lepiej, żeby pole odłogiem leżało, niżeli go złym i niepożytecznym nasieniem zarazić i zapaskudzić. Nie jest to ani kraju ani pisarzy zalecenie, że wiele książek pod imieniem ich wychodzi, bo złe książki oznajmują obcym czytelnikom i kraju niewiadomość i rzemieślników tych dzieł głupstw, o którymby świat był nie wiedział. Muratory, sławny mąż z dzieł swoich, bawiąc się długo na urzędzie przełożonego księżnicy książeńca modeńskiego, jako rad był, aby się ta była powiększała, tak znieść tego nie mógł, że ustawicznie ze wszystkich powiatów i miast włoskich, jak grad z nieba spadały książeczki nikczemne, niepożyteczne i nie warte i wyrzuca na oczy włochom, mówiąc: to się twierdzić może za pewną, bo ta rzecz wszystkim wiadoma: że książki, które temi dniami wychodzą we Włoszech nie zgadzają się ani w swojej dobroci, ani w swojej obfitości z dowcipami włoskimi, a to dlatego, że nasi stracili smak dobry i rozeznanie między dobrym i złym i między dobrym i lepszym. Nie jest to wielka chwała, a tymbardziej wielki pożytek na gwałt pisać książki, zatrudniać drukarnie i napełniać księżnice, ale to sztuka, aby wychodziły dobre, i owszem najlepsze. Bo inaczej to się prawdzić będzie o pisarzach teraźniejszych greckie owe przysłowie: „wielu z piórami, a piśmiennych mało; wielu mędrków, a uczonych nie wiele”. Czemu i Cicero przyganiał, mówiąc: „kto pisze książki nie uczuwszy się i nie umiawszy sztuki myśli swoich rozłożenia, objaśnienia i dania im rozumnego wdzięku i powabu dla czytelnika, taki próżno pracuje i czasu i nauk złe zażywa”. Z tym wszystkim taki świerz b napadł ludzi naukami pomazanych, że kto tylko papieru i pióra nie ma, ten książek nie pisze. Tak jest nieszczęśliwe rzemiosło pięknych nauk, że każdy jego umiejętność sobie przypisuje. Nikt się nie podejmuje strzelby zrobić, kto się ślusarstwa nie uczył, nikt się nie bierze do zrobienia stołu i szafy, kto się w stolarstwie nie wyzwolił, nikt się nie ofiaruje do skrojenia i uszycia sukni, kto igłą i nożycami nigdy nie robił — jedyne są uczone dzieła, około których nawet ci się bawią, którzy, co są nauki, nie wiedzą. Lada niewiasta, co na palcach czcionki i zbieranki rachować i słowa do składu dobrać potrafi, już wiersz lać zaczyna, lada próżniak w domu przy półmiskach tylko uczony, w najpoważniejszych rzeczach i listy i mowy i długie pisma układa, lada młodzik pomazawszy sobie obcym językiem usta i zakosztowawszy francuskich zmyślnodziejów, już na widoki krotchwile pisze. Nędzna Muzol! jakoś się teraz między dudy dostała. Ta jest przywara ludzi lekkich i nierozeznanych, że gdy innych rzemiosł (których się nie uczyli) niewiadomością się wyznają, same tylko krasomówstwo i wierszopstwo, bez pracy, bez praw, bez nauki umieć się rozumieją; i przeto ogólnie wszyscy około niego się bawić, wolność i sposobność sobie przywłaszczają, jako Horacjusz wytyka toż samo w Zagorzałych rzymianach:

Odmienił umysł płochy lud i gore cały
 Żądzą pisania; młodzik i mąż podstarzały,
 Bluszczem skronie związawszy, do stołu siadają
 I na pamięć gromadzie wiersze wylewają.
 I ja, który się taję z tym, że moja praca
 Są wiersze, zmysłam, jako gdy się Parł obraca
 W tyl na wojnie; i nim się na niebie pokaże
 Słońce, dać sobie stolik, pióro, papier każe.
 Nikt nie rządzi statkiem, bez żeglarskiej nauki,
 Nikt ziół nie przepisuje, bez lekarskiej sztuki,
 Rzemieślnik się warształem, a lekarz maściami,
 My, czy uczeni, czy nie, bawimy wierszami.
 Ale to czyliż jest być uczonym, a nie raczej jako mó-
 wi Cicero i Horacjusz, płochym i lekkomyślnym, i ani sił
 swoich słabych, ani wielkiego nauki ciężaru, nieznającym?

(X. Ignacy Włodek: O naukach wyzwolonych w powszęchności i szczęśliwości księgi dwie... W Rzymie 1780. W drukarni Archaniola Kasalettego. Str. 245 — 248).

Zgryźliwy testator.

Biblioteka moja na małoby się przydała familji mojej; małobym także miał wdzięczności, żebym ją publicznym szkołom, gdzieby nawet czytana nie była, zapisał: zatem ma być publiczną aukcją w Paryżu przedana i pieniądze z niej pochodzące mojej matce dostać się mają.

(Ustęp z testamentu Tomasza Kajetana Węgierskiego, z dn. 27 lutego 1787 r.).

Wybrał *Es-te.*

DLACZEGO ISTNIEJĄ BRYKI?

(Głos ucznia)

Nawiązując do artykułów p.p. Alfreda Lutwaka i Dr. Karola Kleina*) pragnę dorzucić parę słów do nowo budujących się fundamentów szkolnictwa.

Panu Alfredowi Lutwakowi należy się gorący przyklask za inaugurację tak aktualnego, aczkolwiek ryzykownego tematu. Artykuł jego bardzo treściwy, daje pole poszczególnym dziełom, które jednak wymagają szerszego omówienia.

Obecnie idzie pod młot dyskusji sprawa „bryków“.

O ile mi wiadomo używa się ich najczęściej przy nauce języków klasycznych, a najmniej przy matematyce. Wynika to stąd, że są to dwa skrajne pojęcia. Pierwsze polega na metodycznym opanowaniu szablonu gramatycznego, drugie — na osobistej orientacji, zdolności realnego myślenia — oraz inteligencji, która jak wiadomo jest wrodzona i decyduje o postępie ucznia, bez względu na edukację, stanowiącą w tym wypadku drugorzędną dekorację. Uczeń zdolny sięga poza ramy programu szkolnego; w przeciwieństwie do przeciętnego.

Mówiąc o lichoci „bryków“ należy zaznaczyć, że tłumaczenia są w tym względzie niedoścignione. Przekłady na polski są dosłowne, (wyglądają wtedy, jakby ktoś pojedyncze wyrazy włożył do kapełusza, potrząsnął i później je na papier rzucił). Tłumaczenia na łacinę wprost skandaliczne i widać, że

*) Drukowane w tygodniku „Głos Prawdy“ N-ry 236, 238.

są wykonane „à la minute“. Bezwzględnie najporządniej są opracowane „skrót i charakterystyki“ do dzieł polskich.

Pan Dr. Karol Klein zarzuca brykom konkurencję z ustaloną „organizacją szkolną“ i że nie dozwalają analitowania przez uczniów. Jeśli uczeń kupuje „skrót“ czy coś w tym rodzaju nie jest to znakiem, że jest leniwy do samodzielnego ujęcia genezy utworu, lecz że się nim nie interesuje.

Uczeń czyta utwór klasyczny z obojętnością i znużeniem. Słeczy nad nim, lecz nie rozumie go i zupełnie się o to też nie stara. Bohaterzy są mu dalecy i nie pojmują ich. Czynów w dziele opisanych nie stara się sobie przedstawić w umyśle, jak to mimowoli przy czytaniu robimy. Czytając z zajęciem powieść budujemy kompletny plan działania akcji, wyobrażamy sobie każdą rzecz: powieść staje się wtedy w naszej wyobraźni filmem.

Przy czytaniu większej części utworów w szkole — niema tego. Podam jeszcze dla lepszego zobrazowania coś w rodzaju przykładu.

Powiedziałem dotąd, że uczeń przez nieinteresowanie się lekturą obowiązkową nie może wniknąć w nią głębiej, nie potrafi scharakteryzować osób.

Jest to objaw czysto psychologiczny, a więc nie uznany przez władze (w tym wypadku: szkolne).

A nie wolno przecież zapominać, że utwór taki błędnie w oczach ucznia, że rozłączy się przy czytaniu; sugestja osobistego niepodobania się wpływa na naiwny sąd, że dany utwór jest kiepski!

W tem to miejscu uważam za stosowne przejść parę kartek dalej, gdzie toczy się zaciekły bój o „Literacki Kościół Wojujący“. Zaznaczam, że wszystkie teraz coraz częściej ujawniające się wady organizacji szkolnej stoją analogicznie do tam omawianej kwestji.

Zadam jedno pytanie przeciwnikom moich wywodów:

Dlaczego niema owych polskich „bryków“ do powieści kryminalnych, romansów Decobry i t. p.?

Odpowiedź klasyczna: Bo młodzież to interesuje. Wzywając się w tę treść, czytelnicy wyrabiają sobie własne niezachwiane przekonanie o charakterach i czynach bohaterów.

Definicja: chcąc zatracić bryki, należy usunąć powód, który potrzebę wywołał. Usunąć milimetrowe studjowanie Paska, Szymonowicza, Skargi. Młodzież dzisiejsza nie może się zdobyć na tak tytaniczny wysiłek, jak wniknięcie w ich epokę (aluzje Skargi!).

Zamiast klepania „Odprawy posłów“ — dajcie im dramat Przybyszewskiego! A ręczę, że nie będą potrzebowali doń bryków, choć jest zapewne cięższy od „Odprawy“.

Dajcie nam współczesność — a nie będziemy was oszukiwali brykami! — oto hasło młodzieży walczącej.

Niech żyje Literacki Kościół Wojujący!

Ludwik Freta

ODPOWIEDZI G Ł O S U P R A W D Y LITERACKIEGO

S. Bor. Radom: W okresie każdej rocznicy — wyruszenia legjonów, imieniem Marszałka Piłsudskiego, w czasie uroczystości listopadowych, przychodzi do redakcji mnóstwo listów na cześć Wodza Polski. Świadczy to olbrzymiej Jego popularności. Mimo wszystko jednak wiersze powinny być dobrymi wierszami. Niestety rzadko to bywa. Nie wystarczy kochać Ojczyznę, by być dobrym żołnierzem. Trzeba jeszcze znać porządnie rzemiosło wojenne. Nie wystarczy kochać Marszałka, by móc o Nim napisać dobry wiersz.

A. J. M. Oświęcim: Wiersz miły, ale słaby jeszcze.

Zof. R. Karniszewice: To samo, co dla S. Bor. Radom.

Jan Mar. Czarnków: To samo, co dla Zof. Karniszewice.

Józef Krz. Monasterzyska: Ależ nie prosiłiśmy chyba o tego Szamana. Czy też może jaka pomyłka. Pański Szaman nie podoba się nam. Jest sztuczny, a przedewszystkiem pusty. Jest to t. zw. pięknosłowie. Rzecz niezdrawa, zgubna!

Jan Śąd... Brody: To samo, co dla Jan Mar. Czarnków.

Albert Mr.: Pisze Pan: Przedwczesnym wykrzykiem, wylałeś z skrzypiec światła likier. Więc gdy brak jasności, zrobić trza sztuczne słońce bogdaj to z klosza. Niech Pan je robi, nie zdołamy jednak pomóc Panu.

Marceli Sh. Sambor: Nie, to nie jest poezja — ani nawet wiersze. Ani jednego świeżego obrazu, ani jednego dźwięcznego zwrotu!

Alfred Lut: Wiersz świadczy o pewnej kulturze, zbyt śmiałym jednak porównaniom nie nadaża. Naprzykład: Na ziemi warstwa cegieł, jak gąbka. Porównania mogą być najśmielsze — byle były, że się tak wyrazimy w konsystencji swej bliskie. Cegła — o ile nie magistracka — bywa jednak twarda, gąbki są naogół miękkie. Powierzchnia cegły i gąbki?! Zrozumiałe?

**

Z okazji świąt Wielkiej Nocy życzymy naszym Korespondentom, z którymi walczymy i spieramy się w tej rubryce, — wszystkiego najlepszego. Niech nam nie biorą za złe, jeżeli czasem odpowiadamy zbyt surowo. Jeżeli niejednokrotnie „czepiamy“ się zwrotek, czy zwrotów. Jeżeli nalegamy na przerabianie tego samego miejsca dwa, trzy i cztery razy. Powoduje nami troska o piękno literackiego wyrazu o sumiennosc w poetyckiej pracy o ukazanie młodym talentom mozolnej, przykrew a jednak najpewniejszej drogi w dziedzinie sztuki, — to jest drogi najtrudniejszej.

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYNSKI

ake. 330/61D.